ECHO Z AFRYKI.

Kwiecień 1901. Rok IX. Nr 4.

Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

Błogosławione przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.

Katolickie miesięczne pismo dla popierania dzieła misyjnego wychodzi w polskim, niemieckim, włoskim, francuskim i czeskim języku. Cena rocznie z pocztą dla Austryi **1** korona **20** halerzy; dla Niemiec **1** mk. **20** fen.; dla krajów związku pocztowego **2** fr. **50** cent.; dla Rosyi **1** rsb.

Adres dla przesyłania prenumeraty i ofiar: Kraków, Starowiślna, Nr 3.

DRUGIE PISMO POCHWALNE

Św. Kongregacyi „de Propaganda fide“

do

Jeneralnej Kierowniczki Sodalicyi Świętego Piotra Klawera.

Jeneralna Kierowniczka Sodalicyi Św. Piotra Klawera została zaszczyconą drugiem oficyalnem pochwalnem pismem, datowanem 14. grudnia 1900 r., ze strony Św. Kongregacyi Propagandy Wiary, które to, dosyć obszerne, pismo popiera Sodalicyę w jej charakterze Stowarzyszenia misyjnego pomocniczego, i jest przez Prefekta Propagandy, Kardynala Ledóchowskiego, tudzież przez Sekretarza Propagandy Msgra Luigi Veccia podpisane. Brzmi ono, jak następuje:

„Komisya wyznaczona do zbadania reguł nowo utworzonych Zakonnych Zgromadzeń, zapoznała się z listami polecającymi Sodalicyą, a pochodzącymi od trzech Kardynałów, wielu Biskupów i Generałów Zakonów misyjnych, którzy tak wielkich pochwał udzielają Sodalicyi, że wyżej wymieniona Komisya uznała, iż należy się JW. Pani słusznie ze strony Św. Kongregacyi Propagandy pochwała i zachęta do dalszej pracy w tym samym kierunku, by to uznania godne dzieło do zupełnego doszlo rozwoju.“

SODALICYA Św. PIOTRA KLAWERA,

Stowarzyszenie Propagandy dla misyj afrykańskich.

PRZEZ

Dra HUGONA MIONI *),

członka eksternistę Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO.

PRZEDMOWA.

Do Czcigodnej Hrabiny Maryi Teresy Ledóchowskiej,

Jeneralnej Kierowniczki Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Było to w jesieni 1894 r. wówczas jeszcze, gdym nie zajmował się wcale misyami afrykańskiemi, a przynajmniej bardzo mało. Czcigodna Pani przemawiała publicznie w celu zapoznania słuchaczy z misyami w Afryce, z „Echem“, a przedewszystkiem z nowem, świeżo właśnie powstałem Stowarzyszeniem, Sodalicyą Św. Piotra Klawera. Pierwszy raz słyszałem wówczas przemowę Pani; słowa zaś Jej były tak przekonywające, tak wymowne, a zapał tak udzielający się otoczeniu, że zostałem odrazu pozyskany dla Jej dzieła. Przekonałem się prędko o znaczeniu Sodalicyi i o tem, że jest ona dziełem Opatrzności, dziełem woli Bożej; objąłem całą rozległość planu Pani i zapragnąłem wziąść udział w Jej przedsięwzięciu, podejmując się niezwłocznie redagowania „Echa z Afryki“ w języku włoskim. W kilka miesięcy później łączyłem się z Sodalicyą, jako takowej członek eksternista.

I oto kilka już lat od tego czasu upłynęło, a dotąd codziennie z całego serca dziękuję Bogu za łaskę mi wyświadczoną, i z każdym dniem więcej oceniam szczęście łączności duchowej z Sodalicyą. Pozostaje mi tylko życzyć, by i innym ta sama łaska w udziale przypadła. Radbym przyczynić się do tego, zapoznać ogół z Sodalicyą; to też nakreśliłem następne słowa i do druku je podaję. Przyznaję, że trzeba było odwagi, by po tem wszystkiem, co Pani pięknego i dobrego o dziele swem już napisała, ośmielić się również słówko o takowem wyrzec. Sądzę jednak, że nie będzie bez korzyści, jeżeli i inny głos w tej samej podniesie się sprawie; a jeżeli to moje wystąpienie *jedną* tylko, jedyną osobę dla dzieła Pani zdobędzie: zostanę wynagrodzony dostatecznie.

Niech pismo to moje świadczy Czcigodnej Pani o najgłębszym szacunku i gorącej wdzięczności

AUTORA.

Tryest, w dzień Trzech Króli 1900.

---

*) Zwracamy uwagę Sz. Czytelników, że szereg *artykułów wstępnych*, jakie zamierzamy teraz drukować w „Echu“ z dziełka Dra H. Mioni'ego, zostają z sobą w związku. *(Redakcya).*

1. Misye w ogólności.

Misye istnieją od tak dawna, od jak dawna istnieje Kościół katolicki; od chwili bowiem, gdy rozległ się głos: „*Idźcie i nauczajcie wszystkie narody*“, powstali misyonarze i misyonarki. Pierwszymi misyonarzami byli apostołowie przez Jezusa Chrystusa samego wysłani; ci cały świat przeszli, wszędzie naukę Krzyża głosząc i dla Boskiego Mistrza dusze zdobywając. Po śmierci apostołów, uczniowie ich dalej prowadzili rozpoczęte dzieło, i na rozkaz Rzymu, w ciągu wszystkich stuleci, przebiegali wysłannicy Wiary świat pogański, by Kościół Chrystusowy rozszerzyć. Wezwanie Boskie: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody“, to wezwanie, które przeszło 19 wieków temu się rozległo, nie umilkło dotąd, brzmi ono w sercach ludzkich, świadcząc o Boskiem swem pochodzeniu tem, że teraz, jak i przedtem, samolubne z natury serce człowieka tak się rozgrzewa, iż, wyrzekając się wszystkiego, co schlebia naturze, za głosem tym idzie. Widzimy też tysiące hojnie przez Boga udarowanych młodzieńców i bohaterskich dziewic apostolstwu się oddających. Opuszczają oni ojczyznę, dom rodzinny, najbliższych, wszystko, co miłe i drogie; wyrzekają się wszelkich wygód życia, idą na obczyznę do ludów w ciemności pogrążonych na to, by je dla wiary prawdziwej pozyskać. Na najbardziej zaniedbanym, niedostępnym kawałku ziemi nawet, Krzyż zostaje zatknięty, a u stóp tego Krzyża apostoł wiary Boga prawdziwego daje poznać, a Siostra misyonarka, duchem Chrystusowym przejęta, pełni braterskie miłości bliźniego czyny.

Życie misyonarza jest nad wyraz twarde, wysiłków i trudów pełne. Życie to płynie wśród niedostatku, wymaga ofiar, obfituje w cierpienia. Przypuszczaćby można, że nie znajdzie się nikt, coby podobne powołanie miał obrać sobie; a jednak całe szeregi misyonarzy, idąc za tajemniczym pociągiem łaski, udają się do obcych krajów. Nie zważają oni na niebezpieczny klimat, jałowość gruntu, barbarzyństwo mieszkańców; nie zniechęca ich gorąco lub zimno, głód albo pragnienie; nie przeraża śmierć przedwczesna, przeciwnie, tęsknią za męczeństwem. Wołanie Boże rozległo się: idą za niem! A jednak i misyonarz ma serce, co czuje i cierpi. Serce to krwawi się, gdy wysłannik Boży żegna ojczyznę i dom rodzicielski; liczne zaś udręczenia ciała, a nadewszystko męki moralne ciężą na ich sercu i umyśle. Ale niezmierna miłość Zbawiciela i dusz, czyni mu wszelkie braki, wszelkie ofiary lekkiemi, słodkiemi. Jak matka ubolewająca nad utratą dziecka, tak misyonarz cierpi, gdy nie może zdobyć dusz dla Chrystusa.

Olbrzymią jest ilość tych Bożych wysłanników. Nigdy może w Kościele katolickim działalność misyjna do takiego nie doszła jak obecnie rozwoju. Wszędzie powstają apostolskie wikaryaty i prefektury, wszędzie — stowarzyszenia misyjne dla nawrócenia obcych części świata, wszędzie — nowe świątynie, nowe szkoły, nowe misye, nowe kaplice. I te niezliczone szeregi misyonarzy, ta wielka ilość stowarzyszeń, te wikaryaty i prefektury wiążą się w jednolitą całość, bo przenika je nietylko tenże sam duch Chrystusowy, ale zostają one pod jednym i tym samym kierunkiem. Święta Rzymska Kongregacya Propagandy Wiary stoi na czele całej misyjnej działalności.

Od niej zależy wszystko, przez nią jest wszystko kierowane, ona nadaje jedność i moc całemu dziełu, jest cementem spajającym wspaniały, podziw budzący gmach szerzenia wiary katolickiej.

2. Misye w Afryce.

Pomiędzy wszystkimi krajami, które dotąd po za obrębem Kościoła katolickiego pozostają i potrzebują najwięcej działalności katolickich misyonarzy, zajmuje z pewnością Afryka pierwsze miejsce, a to z wielu powodów.

Po pierwsze pogrążoną jest ona głębiej, niż inne części świata w ciemnocie pogańskiej. Afryka, jak wiadomo, jest to ląd niesłychanie do zbadania trudny, trzy razy większy od Europy, na którym wiara katolicka względnie mało jest znaną i który z tego powodu bardzo jeszcze uobyczajenia chrześcijańskiego potrzebuje. W innych częściach świata, jak w Ameryce, Azyi, a nawet Australii, Krzyż w swym zwycięskim pochodzie znaczne już uczynił postępy, wiele tam ludów nawróconych, a od tych światło wiary na inne promienieje: w Afryce zasady Ewangelii są jeszcze w zawiązku.

(C. d. n.).

MISYA APOSTOLSKA W KRAJU BETSILEOSÓW.

(Madagaskar. Okręg Ambohimahasoa)

1890—1900.

Z dziesięć lat temu, czcigodny Wikaryusz apostolski Madagaskaru, Msgr Cazet, wyraził żal swój z powodu smutnej konieczności odmówienia krajowcom, dla wiary chrześcijańskiej już pozyskanym, misyonarza i kościoła, których z tak rozrzewniającem naleganiem się domagali. Brak niezbędnych środków na przeszkodzie stawał. Misyonarze, niemniej jak ich czcigodny Biskup wzruszeni i również jak on pragnący zaspokoić te serca żądzą prawdziwej wiary pałające, odezwali się z prośbą o wsparcie. Żądali tylko dwieście franków na wzniesienie kościoła i stacyi misyjnej. Pierwsza na to wezwanie odpowiedziała. przyłączona do Niemiec, Lotaryngia. Znalazła ona fundusze potrzebne na budowę kościoła i założenia kilku stacyj misyjnych, przysłała wszystkie naczynia kościelne i aparaty, tudzież wszystko, w co wnętrze świątyni zaopatrzone być powinno, wyrażając życzenie, by takową nazwano „kościołem lotaryngskim“ i poświęcono Sercu Jezusowemu. Pozwolenie uzyskano i misya Lotaryngska została założoną.

Było to w styczniu 1891 r.

Wszelkie dzieło, do utrwalenia Królestwa Chrystusowego na gruzach władzy szatana przeznaczone, rozwija się i utwierdza przez doświadczenia tylko, a istnieje jedynie o Krzyż oparte. Misya Lotaryngska Serca Jezu-

sowego musiała uledz prawu ogólnemu, czerpiąc w niem siłę swą, sprężystość i żywotność. Po dosyć lekkich pierwszych próbach, przyszły: prześladowania, choroba, wojna, położenie rozpaczliwe niemal, ale pomoc znajdzie się zawsze po przetrwaniu próby; Serce Jezusa czuwa!... Zwycięstwa odniesione są znakiem widocznym opieki Boskiego Serca, oraz zachętą dla misyonarza i dobroczyńców; to też zasługują na wzmiankę. W ciągu czterech miesięcy udzielił Ojciec 65 jednostkom Chrztu św., 25 — pierwszej Komunii, a 245 uzyskał dla Sakramentu Bierzmowania. W obecnej chwili, czcigodny jego Wikaryusz apostolski może przemawiać do 6000 chrześcijan, na klęczkach błogosławieństwo jego przyjmujących. Misya rozwija się pomyślnie pomimo zażartych wysiłków ze strony nieprzyjaciół, protestanckich Anglików, uciekających się do przemocy nawet, by jej odebrać dzieci. Ale nadchodzi rok 1895 i trzeba wszystko opuścić. Wojna wypowiedziana; roztropność wymaga wyjazdu wszystkich Francuzów i zakonników.

„Zalewie wiadomość ta rozeszła się po naszym okręgu — pisze Ojciec — chrześcijanie moi nadbiegają ze wszystkich stron i zakątków misyi. Pomieścić ich trudno. Wielka ilość przyjmuje Komunię św. Potem dzień i druga noc upływają na spowiadaniu, na dawaniu ostatnich napomnień. Co za rekolekcye!... Co za misya!... i bez żadnych wysiłków wymowy!... Cisza tylko i łzy Malgaszy całujących ze czcią ręce kapłana, który w ciągu długich miesięcy, lat całych może, sprowadzał na ich głowy przebaczenie, a do ich serc Boskiego Króla!“

Po roku wygnania na wyspie Reunion (Bourbon) przebytego, Ojcowie mogą wrócić na swe stanowiska. Powrót ten czekało tryumfalne przyjęcie. Zdarzenie, wywołane niepospolitą stałością wiary w czasie tej epoki, tak dotkliwie brak pomocy religijnej odczuć dającej, zasługuje na wzmiankę. Dzieweczkę nowoochrzczoną o wielkiej mocy ducha, chrzestną córkę jednej z dobrodziejek w Lotaryngii, chciał zaślubić jeden z opiekunów uczniów protestanckich.

— Dobrze — odpowiedziała — ale pod warunkiem, że katolikiem zostaniesz.

— Nie — odrzekł — żona powinna iść za mężem, jest to prawo płci silnej.

— Niezależnie od prawa dziewczyna katoliczka, silniejszą jest od chłopca protestanta. Zobaczysz, że dowiodę ci tego!

Napróżno konkurent zastawiał się prawem Malgaszy, wzbraniającem uczniom tego plemienia na inne przechodzić wyznanie. Pomimo prześladowania Anglików, dzielne dziewczę nie ustąpiło, i po kilku miesiącach narzeczony na katolicyzm przeszedł, a w braku księdza, M. ochrzciła przyszłego małżonka swego, nadając mu imię Ludwik. M. i L. wykształceni w szkołach normalnych, zostali gorliwemi katechetami. Zaraz po powrocie misyonarza odbył się ślub; w dziewięć miesięcy potem, przyszła na świat córeczka czarna jak heban, lecz milutka jak aniołek. Państwo C., pierwsi Europejczycy, jacy osiedlili się w tych stronach, zgodzili się być jej chrzestnymi rodzicami, nadając dziecięciu imię Róża.

Wpisy uczniów do szkół katolickich liczą się na tysiące — donosił Ojciec misyonarz w kilka tygodni po swym przyjeździe. — Potem cy-

*

tuje on 2000 nowoochrzczonych w ciągu dwóch miesięcy, do 190 odrazu podczas wizyt pasterskich. Gotowość tej ludności do zaciągnięcia się pod sztandar Chrystusowy jest w istocie godną podziwu, i najzupełniej z ich własnego pochodzi popędu. Gorliwość ich i gorącą wiarę najlepiej mogą poznać chrześcijanie Europy z dwóch następujących listów Ojca misyonarza.

List z października 1897 r.

Na wschód od Betsileosów wśród dzikiego lasu, przebywa plemię Tanala (mieszkańcy lasu) żyjące aż dotąd w niewoli bałwochwalstwa i protestantyzmu. Zeszłego miesiąca plemię to zbuntowało się, ale po miesiącu walki, podczas której z największą trudnością drogi trzeba było torować, zostało pokonane przez wojsko francuskie ze wszystkich stron nadciągające, a poparte przez moich kochanych Betsileosów.

Gdy tylko pokój został wrócony, pastor luterański, podczas niebezpieczeństwa na uboczu się trzymający, pospieszył skorzystać z tryumfu. Czterdziestu nauczycieli szkół stanowiło jego eskortę. Przechodząc przez Ambositrę, stanowisko Ojca F., każe on oznajmić, że katolicy nie powinni myśleć o przenikaniu w głąb szczepu Tanala. Ojciec F. posyła natychmiast ludzi wyzwanie to przyjmujących, a sam, zbyt w latach podeszły by módz udać się na plac boju, mnie porucza zaszczyt podjęcia rękawicy.

Wybrałem dzień 31. lipca, uroczystość wielkiego naszego wodza, św. Ignacego, do przypuszczenia szturmu. Mój przeciwnik pozostawił batalion swój w twierdzy, a sam wyruszył na zdobycie posiłków. Anglicy wszystko mu oddali: rezydencyą przepyszną, uczniów u niego zapisanych; posiadł wszystko. Mnie przeznaczono na schronienie nędzną chatę, zamieszkaną przez milicyę Malgaszy. Tam to w sam dzień św. Ignacego ofiarowaną została Msza św. wśród olbrzymiej, lesistej pustyni.

Nazajutrz w niedzielę — Msza św. pod gołem niebem w obecności oficerów i żołnierzy szczepu Tanala. Ale brakło mi jeszcze dzieci, tego najważniejszego w podobnej walce czynnika!...

Jakież było moje zdziwienie, gdy po skończonem nabożeństwie ujrzałem zbliżającą się do mnie, do koszar na świątynię zamienionych, gromadkę Tanalów, o postawie po większej części budzącej szacunek, odzywających się w te słowa: „Mój Ojcze, jesteśmy naczelnikami, sędziami pokolenia. Oddawna słyszymy o religii katolickiej, ale nikt nie przyszedł jej nas nauczyć, to też chętnie lub z musu oddawaliśmy się protestantom. Dowiedziawszy się o twem przybyciu, ze wszystkich stron lasu przybiegamy oświadczając, że od dnia dzisiejszego my wszyscy, nasze dzieci i mieszkańcy wsi naszych — przechodzimy na katolicyzm. Oto nasi nauczyciele szkół, niegdyś protestanci, przynoszą ci spis uczniów swoich."

Napoczekaniu oznaczyliśmy 20 stanowisk oddanych z bronią i bagażem w nasze ręce. W samem mieście zapisało się 200 uczniów. Ramię św. Ignacego nie straciło nic dotąd na swej mocy.

Powrót mój był jedną długą owacyą, czynioną mi przez te ludy proste i jędrne jak stuletnie drzewa, które je ocieniają. Nowa radość czekała mię w drodze. Podczas gdy przygotowywałem się do zapisania uczniów jednej wsi, naczelnik przychodzi do mnie i mówi: „Mój Ojcze,



OSTATNIA EKSPEDYCYA SIÓSTR DO KAMERUNU.

S. Barbara. S. Maksymiliana.

S. Gertruda. S. Tadea. S. Laurencya.

przed piętnastu laty, na początku pierwszej wojny, królowa wypędziła Misyonarzy, Braci i Siostry, wzbraniając krajowcom dostarczania im żywności, by pomarli z głodu. Nadto, zamiast prowadzić drogą prostą, skierowano ich na ścieżki do przebycia trudne, któremi szli pieszo starcy i zakonnice. Dwie osoby z tej liczby umarły z głodu, gorączki i niedostatku. Pomimo surowych rozporządzeń królowej i brutalstwa żołnierzy prowadzących tułaczy, przynosiliśmy im potajemnie żywność. Dziś, Ty jesteś wysłańcem Bożym, mającym wynagrodzić nam ten czyn miłosierdzia względem Twych poprzedników. Pierwszy uczeń, jakiego Ci przedstawiamy, przyszedł na świat piętnaście lat temu, tejże nocy, co Ojcowie przez wieś naszą przechodzili. Jest to dziecko misyi prześladowanej. Należy on do Ciebie.“ I mówiący kazał zbliżyć się młodemu Tanali, ktorego zatrzymałem przez chwilę w mych objęciach.

Wzrastająca pomyślność misyi wymagała pomieszczenia obszerniejszego na modlitwę i zgromadzenia ludu, niż przybytek będący jej kolebką. Powzięto więc postanowienie wzniesienia tymczasowo znacznych rozmiarów szopy i połączenia jej z pierwotnym kościołkiem. Sam misyonarz nam opowiada, z radością Ojca mówiącego o powodzeniu swych dzieci, w jaki sposób tanim kosztem i w krótkim czasie zbudowana szopa zastąpiła piękny kościół, o którym marzono.

List z września 1898 r.

Moi chrześcijanie, od dwóch lat wszyscy prawie pozbawieni Mszy św. i wielkich uroczystości z powodu braku dostatecznego pomieszczenia, teraz mogą się schronić w olbrzymiej budowie w rodzaju szopy, która, dzięki ich gorliwości, przybrała rozmiary pomnikowe. Bez mojej wiedzy zaczęto od zbierania składki, a ta wyniosła 500 franków. Potem skorzystano z mej nieobecności, by wykopać szerokie i głębokie miejsce na założenie fundamentów dla szopy, którą ja budować zamierzałem z gliny ze słomą zmięszanej. Gdy fundamenta zrobione z błota tak twardego jak mięszanina wapna, piasku i zwiru, były gotowe, przygotowali oni 100.000 cegieł, które grosza nie kosztowały. Przed miesiącem, ani jedna nie była jeszcze położona; jutro zaś kładziemy ostatnią. Ale też co za rój pszczół przy robocie!... Przy warsztacie mieliśmy około 500 robotników dużych i małych. Nasi chłopcy, w braku rydlów, do ugniatania błota używali rąk, nóg, całego ciała... Najwięksi robili cegły, które panie i panienki nosiły.

Żeby dach harmonizował z tymi murami, kazalem zrobić kosztem misyi dachówki. Chrześcijanie dostawiają drzewo, które 30 ludzi rąbie w lesie. Jeden z Braciszków ze stolicy wykona ciesielską robotę. Wreszcie mam nadzieję otworzyć szopę naszą na Wszystkich Świętych.

Poczciwi Betsileosi gotowi w każdym trudniejszym wypadku, własnej nadstawić głowy, niemniej są zręczni, gdy idzie o zrobienie niespodzianki Ojcu misyonarzowi. Jedna z nich, jako dowód wiary i poświęcenia, zasługuje na wzmiankę. Po trzech tygodniach, spędzonych na egzaminowaniu i badaniu tysięcy uczniów rozrzuconych w stu wsiach, do których dostęp bardzo trudny, po galopowaniu w dzień i w nocy — Ojciec, zmęczony, wracał do Ambohimahasoy w nadziei wypoczęcia tam trzech dni przed

Wszystkimi Świętymi. Liczył on na to, nie biorąc pod uwagę uporu swych katechumenów „lotaryngskich.“ Ci ostatni zawiadomieni, iż z powodu niedostatecznej swej wiedzy, nie będą mogli Chrztu św. przyjąć na Boże Narodzenie, a pragnący dostąpić tej łaski już w dzień Wszystkich Świętych, zazaz po wyjeździe Ojca zwrócili się do nauczyciela szkoły, by go prosić o przygotowanie do tego Sakramentu.

— Chętnie — odpowiedział on — ale trzeba będzie uczyć się we dnie i w nocy.

— Dobrze, we dnie i w nocy będziemy się uczyli.

Tak też i było. Zaledwie O. misyonarz wrócił, 200 z nich, dumnych z dokonanej pracy, stawiło się z prośbą o Chrzest św. i gotowością dania dowodu wymaganej wiedzy. Sześćdziesięciu tylko próby nie wytrzymało i musiało odłożyć spełnienie swych pragnień na później. Natychmiast rozpoczęto rekolekcye.

Polecając się swym przyjaciołom w Lotaryngii, Ojciec zwraca do nich między innemi te słowa: Odwołajcie się do katolików Europy, może zechcą przyczynić się do tego, by Serce Jezusowe królowało i tu, na tej ziemi tak żyznej. „Pomyślcie tylko, w roku bieżącym 1900-nym dziesięć tysięcy chrześcijan będzie w komplecie, a przed 10-ciu laty stu było tylko!“

Macierzysty Kościół centralny, wydał dokoła najprzód 8 małych stacyj katolickich; podczas wojny 1895 r. było ich 20, a dziś liczy się — 80. I Ojciec dodaje: „Dusze pobożne i wspaniałomyślne, pozostaje jeszcze 60 miejsc do zaopatrzenia w świątynie. Czy nie znajdziecie 60 razy 200 franków, by kościół zbudować, a 5 franków miesięcznie dla każdego nauczyciela szkoły? Wybierzcie sami Patrona dla tego kościoła. We trzy miesiące będziecie mieli stacyę gotową, która na tym urodzajnym gruncie przyniesie wam 100 od 1 w niebie. Jako chrzestne dziecko ofiaruję nie jednego małego dzikiego, ale wieś całą tym, co zechcą zająć się jedną z tych fundacyj. Wystawienie dzwonnicy do wielkiej szopy, założenie szkoły rękodzielniczej przez rząd popartej, kupno pola zasianego ryżem, do części którego miałaby prawo każda stacya, 5 franków miesięcznie (60 rocznie) dla każdego nauczyciela szkoły: jest to jako tyleż rąk wyciągniętych do waszego niewyczerpanego miłosierdzia.“

ODCINEK.

SPUŚCIZNA.

— Wszak ja będę misyonarzem, nieprawdaż, mamo? Powiedz, że tego chcesz.

— Tak, tak... Piotrusiu. Oby cię Bóg tylko uzdrowił, dziecko moje!

I biedna kobieta z trudnością tłumi łkania, syn jej bowiem jedyny, jedyna pociecha jej przedwczesnego owdowienia, ostatnią ze śmiercią toczy walkę; jutro, dziś może jeszcze, będzie musiała na zawsze go pożegnać.

„Misyonarzem!... — powtarza dziecko z błogim uśmiechem — misyonarzem!...“ Wzrok jego staje się niepewny i zamglony; zbielałe usta szepczą o niebieskich falach morza, o okręcie, który w złoto-różowym blasku jutrzenki kotwicę podnosi, uwożąc cały rój misyonarzy do Afryki dalekiej. Piotruś znajdnje się między nimi i zdaje się ramiona do kogoś pozostającego na brzegu wyciągać... „Nie płacz, mamo, nie płacz!...“

Główka dziecka opadła ciężko na poduszki. Życie zgasło... Teraz leży Piotruś wśród świateł i kwiatów na śnieżnem swem łóżeczku. Matka bez łzy w oku, w niemej boleści dzień i noc spędza przy nim.

Znajomi i przyjaciele wchodzą, zimne jej ręce ściskają ze współczuciem, kropią wodą święconą ostatnie posłanie jej ulubieńca, przynoszą kwiaty. Ona nie widzi nic, nie słyszy nic i nic nie czuje...

Nagle jakieś nieśmiałe pchnięcie drzwi otwiera, i w progu staje nędznie ubrany chłopczyk z bukietem fiołków w ręku. Wahając się, postępuje on kilka kroków, zbliża się do umarłego dziecka, wspina się na palcach, by złożyć dar swój skromny i naraz, padając na kolana, wybucha głośnym płaczem.

Matka zadrżała, ocknęła się z odrętwienia. Co to za nieznajome dziecko przy zwłokach jej jedynaka łkając klęczy?... Ach! — już przypomina sobie!... Przed kilku tygodniami, jednego listopadowego popołudnia, gdy mgła i chłód tak bardzo odczuć się dawały, spieszyła ona z synkiem swym do domu, aż tu nadbiega jakieś dziecko, niosące na sprzedaż różne drobiazgi i z cicha prosi o jałmużnę. Młoda kobieta otwiera szybko portmonetkę, wciska natrętowi pieniądz w rękę i chce co najprędzej się oddalić, ale Piotruś, wpatrzony w małego żebraka, stoi, jakby wrósł w ziemię.

— Chodź, Piotrusiu, chodź, bo się zaziębisz.

— O, mamo, mnie nie zimno, ale spójrz, jak drży ten mały!

— Biedne dziecko! lecz chodź prędko; my nie możemy na to poradzić.

— Mamo, mówiłaś mi wczoraj, że wyrosłem z wielu mych ubrań; spójrz tylko, dla tego małego będą one doskonałe.

— Mamy naszych ubogich do wspierania, synku; niepodobna przyjść z pomocą każdemu dziecku, jakie się na ulicy spotka. Bądź rozsądnym, Piotrusiu; daj mu jeszcze tę monetę, która dzienny jego zarobek podwoi i idźmy co najprędzej.

Piotruś zwrócił na matkę wzrok błagalny, niepokoju pełen.

— Ale on będzie marznął jutro, pojutrze i dnia każdego. Mamo, zabierzmy go z sobą, żeby go ubrać w ciepłą sukienkę. O, powiedz: tak, mamo, powiedz, proszę!...

Suchy kaszel przerwał mu prośbę, napełniając trwogą serce matki, która, chcąc raz koniec dalszej rozprawie położyć, dała swe przyzwolenie.

— Dobrze, ale teraz prędko do domu! Idź za nami, chłopczyku.

Onieśmielony mały żebrak, nie rusza się z miejsca. Wówczas dziecko bogate bierze — ubogie za rękę i, z odwagą sobie wrodzoną, prowadzi przez najludniejsze ulice miasta, nie dbając o zdziwione lub drwiące spojrzenia, jakiemi przechodnie ich obrzucają.

Gdy się znaleźli w mieszkaniu, Piotruś z radością nieopisaną zajął się swym małym towarzyszem, którego pod czujnem jego okiem musiano posilić, ogrzać i odpowiednio odziać. Gdy się wreszcie przekonał, że dziecko zostało we wszystko należycie zaopatrzone, zaczął skakać z radości, wyrażając tym sposobem zupełne swe zadowolenie; potem, idąc za jednym z tych pędów, które nieprzepartego wdzięku mu użyczały, pochylił się ku małemu przybłędzie i ucałował go w same usta.

Mały żebrak poczerwieniał z radości. Może więcej ucieszył go pocałunek, niż hojne podarki...

W każdym razie posiadał on pamięć serca, dowiódł tego dziś przy katafalku szlachetnego swego przyjaciela. I wielka pani, dla której bogactwo ze szczęścia odarte byłoby ciężarem tylko, zrozumiała, że to małe stworzenie, na najniższym szczeblu drabiny społecznej stojące, z życiem ją pogodzi. Piotruś jej przysłał to dziecko. On pierwszy obudził w tej duszy szlachetne uczucie wdzięczności; jej teraz przypadło w udziale rozpoczęte dzieło dokonać, jako spuściznę po jedynym synie.

— Dziecko to wychowam na chrześcijanina, jeżeli będzie można, na... apostoła.

Bóg pobłogosławił tym zamiarom, i spełnił to pragnienie.

*

* *

Znowu ciężka godzina rozstania wybiła: młody misyonarz klęczał u nóg ukochanej swej dobrodziejki i matki, a serce jego, rwące się z utęsknieniem do ciemnych gajów palmowych i gorących pustyń Afryki, płonące żądzą pozyskania tam dusz Zbawicielowi — w tej uroczystej chwili głęboki ból przenikał.

— Do widzenia!... tam... w górze...

Jeszcze jedno: „Bądź zdrowa!“ do pozostałej na brzegu matki, i... popłynął w dal, niesiony przez lśniącą morską falę.

I znowu biedna matka została sama... ale niewysłowiona, niebiańska słodycz duszę jej napełnia. Spieszy na cmentarz, klęka na grobie ukochanego dziecka i, wylewając łzy gorące, szepcze:

„Piotrusiu, synu mój, czyś zadowolony teraz?“

(Petit Almanach de la Propagation de la Foi).

Szarańcza.

Niepodobna jest wyobrazić sobie zniszczenia spowodowanego przez szarańcze, pomimo wszelkich środków i usiłowań ludzkich, czynionych dla zapobieżenia tej klęsce. Dzwony, bębny, piszczałki, chorągwie uderzającej barwy, wszystko to jest użyte dla ich odstraszenia, także słupy dymu z ognia palącego się na polach, są niekiedy skuteczne. Chmury tych groźnych podróżników unoszących się na przestrzeni kilkunastu kilometrów, dochodzą niekiedy do grubości jednego metra. Zacięta walka przeciw temu żarłocznemu stworzeniu trwa czasem dzień cały bez przerwy pomimo upału i potrzeby wytchnienia, a zdarza się nawet, że przez 8 lub 10 dni czatuje się na tę wędrującą armię, pojawiającą się raz z południa, to znów z północy, wschodu lub zachodu. Tak plądrując kraj cały, owady te poszukują żeru, spadają na widok zieleni, pożerają krzewy aż do kerzenia, odzierają korę z młodych drzew, niszczą trawę lub zasiewy, pokrywając sobą ziemię na 10 kilometrów kwadratowych. Wtedy to czarni korzystając z ich ociężałości i otrętwienia, robią sobie z nich nie małe zapasy, uważając tę potrawę za największy przysmak.

Wykaz datków w kwocie **3855** koron **74** hal. znajduje się na 2. stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 19. marca 1901.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Wojciech Adamski.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarządem J. Łakocińskiego.